# Murowaniec

*Krzyśkowi K.*

– Zaświeć latarkę. – Poczułem jego przesiąknięty kawą oddech na mokrym karku. Sapnął ze trzy razy i dodał: – Bo ja zapomniałem.

Weszliśmy w ciemny las. Zeskorupiałe okiście uginały spławy smreków, zasłoniły półksiężyc i ścieżkę wystającą spomiędzy tafli lodu wyczuwaliśmy stopami. Kółko światła odsłaniało w mroku pozory zimy – srebrne prącia igieł, szreń, żyłki lodu pod wykrotami i mgłę, gęstą, mokrą mgłę nad Boczaniem, jak gaza filtrującą od dołu syf świata, z którego chcieliśmy uciec. Bo jeśli zimą, nawet jeśli tylko zimę przypomina, to tylko przez Boczań. W Jaworzynie jest wtedy czarno i gonią niedźwiedzie, jak nas samych parę lat temu. Na grani zrobiło się nieco jaśniej, bo zza szmelcu ostatnich metalicznych obłoków wyjrzał srebrny róg pod matową, wygwieżdżoną czaszą. Spojrzałem za siebie – w dole na Podhalu oddalała się narośl świateł, jakby księżyc wyzwalał pływy nie tylko mas wody, ale i ziemi.

– Jego mać… – szepnąłem, próbując wymacać nad głową maciupki żółty guzik, który firma Petzl zaprojektowała nie dla ludzi, a skrzatów.

– Co jest? – spytał, gdy znów mnie dogonił.

– Moja też siada…

– Ile nam jeszcze zostało? – Ciężko dyszał.

– Z pół godziny.

No i zgasła. Nie, nie baliśmy się. Nie z takich opresji wychodziliśmy, niejedną noc spędziliśmy na lodowych półkach, nie dwa razy szczaliśmy w czeluść na pohybel wszystkim, by przejąć się teraz śmiercią R6. Z kotliny wspinał się po dyszlu Wielkiego Wozu warkoczyk dymu. Szliśmy w jego kierunku. Tutaj śnieg chrzęścił już pod stopami jak chrust.

Tak, w piątek zawsze nocą, by nie zarwać soboty. Dojazd ze stolicy trochę trwa, a Zakopianka w weekendy przypomina exodus obywateli wzgardzonego kraju. Z okienek bił ciepły seledyn. Otwarłem drzwi. Buchnęło ciepłem, swędem browaru i ludzkim kwasem.

Spojrzałem w lustro, Gregor stał tuż za mną. Na mrozie cała jego twarz skrzyła się i bordowiała jak po wódce, dopiero po dobrym kwadransie w cieple tając do fazy dwóch krwistych, idealnie okrągłych kółek na policzkach, przechodząc w końcu w akceptowany społecznie brzoskwiniowy połysk. Zajęliśmy łóżka w ósemce. Pokój był pusty, bo na dole trwała na dobre śródgórska balanga. Odstawiliśmy kije trekkingowe za pół koła, zdjęliśmy goretexowe kurtki za półtora, stuptuty za trzy stówy, polary Patagonii i bieliznę z wełny merynosa. Zgadza się – dwóch czterdziestolatków po rozwodach, którym jednak jakoś coś się nie udało, dlatego zamiast dymać z wózkiem w Dolince ku Dziurze i uprawiać ojcing, wybierają się po srebrne runo na wywianej grani. Przyjrzyjcie się kiedyś – zawsze w parach, dwóch zbyczonych kasiastych gości, których internetowe biznesy od ładnych paru lat hulają same, pachnący zawsze i wszędzie, jakby brali w akcji jakiejś niewidzialne prysznice, w obcisłych leginsach i z dobrze ułożoną fryzurą, wysmarowani pomadkami i najdroższymi kremami górskimi, które wstrzymują UV nawet na Chu Oyu. Mijają was pewnie i szybko, bo brakuje im wiele, ale nie kondycji, i zostawiając na was swoją woń, giną gdzieś za skalnym załomem pod Kozią albo Chłopkiem, bo przecież nie

Grzesiem, gdy po latach znów można być chłopcem i ścigać się, zdobywać i kląć. Gregor – nie Grzegorz. Ten „Gregor” przylgnął do niego gdzieś w epoce ruskich targów, gdy na widok dolarów i MacGyvera reagowaliśmy zbyt pochopnie, a wrodzony strach przed osobistą zmianą sprawił, że do dziś tak się przedstawiał. Jakby wstydził się nadal swojej drugiej, pewnie prawdziwszej połówki, jakby wiecznie było ich dwóch i oboje wiecznie zapominali latarek.

Dlatego nie zdziwiłem się, gdy zajęliśmy dwa ostatnie miejsca na ławie wciśnięci między grupy rozgadanych studentek, a on, zwracając się do sąsiadki, wyciągnął dłoń i powiedział z niebrzydkim uśmiechem: „Gregor…”.

Zawsze podziwiałem pedanterię, z jaką przygotowywał się do tych ozdrowieńczych wypadów. Okej, zapominał latarki, ale nie szynki parmeńskiej, gorgonzoli, korniszonów, papryczek węgierskich, kindziuka, salami z pieprzem, kabanosików, cebulek, osełek, sypanej herbaty, piersiówek z bimbrem miodowym na wodzie brzozowej, cukru trzcinowego, keksów, koktajlowych pomidorów i szczypioru, a ja czekałem, aż kiedyś wyciągnie z tego wora kawał surowej ośliny. Rozkładał wszystko zawsze na wypranej i wyprasowanej ściereczce, której róg naruszał teraz terytorium smagłej czarującej dziewoi. Położył na nim ostatni fant – małą książkę. Byliśmy zbyt starzy i zbyt cyniczni, by w tak ciasnej społeczności pójść w totalność – nosiliśmy książki albo gazety, jakieś „Polityki” albo „Tygodniki Powszechne”, by na okoliczność krępującej blokady, konwersacyjnej ślepej uliczki móc w usprawiedliwiony i prawie naturalny sposób spuścić wzrok na koronkę liter. Tyle że tę książkę czytał naprawdę, a do tego nosił ją od miesięcy. Raczej przeglądał, bo zawierała tylko trochę tekstu i album fotografii Awita Szuberta, które lubił, a może nawet hołubił. Dostał świra. Wpatrywał się w te zdjęcia jak szpak w dziuplę, jak wrażliwe dziecko, które pierwszy raz widzi przez lornetkę szczyt Kościelca i

drepczących po nim ludzi. Ale rzeczywiście przykuwały wzrok. Wykonane niedługo po powstaniu styczniowym, w czasach najwdzięczniejszych, bo pionierskich, na długo przed wielką szajbą tatrzańskich odkryć, na długo nim na Krzyżnem stanęła skalna wiata, nim ksiądz Gadowski w jakiejś eschatologicznej obsesji puścił przez skalną grań Orlą Perć, nim Józio Oppenheim upijał się z Witkacym, by Rafał Malczewski mógł to potem opisać – wiele epok przed tym, gdy nasze czarne pionki przesuwały się po zimowo-wiosennej szachownicy Skupniów Upłazu, próbując nitką światła nawiązać łączność z mrokiem. Zakopianka – 1871. Wóz tłucze się żwirowym duktem, wokół szczere pola, dalej Giewont, a obok idzie dwóch górali. Krupówki – 1876. Jedna wielka łąka, dalej młaki, kawałek strumienia i paru odstrzelonych inteligentów w binoklach. Hala Gąsienicowa – 1873. Chudobiedne szałasy, paru pastuchów i widać, że cuchną jak nieszczęście. Nie znam się i nie mam pojęcia, jak je robił, ale ich ostrość wskrzesza nawet wonie, dlatego każde z nich zabiera tyle czasu. Odkąd Gregor je dorwał, przestał robić zdjęcia, czy pstrykać foty, a zaczął „zdejmować". Tak się wtedy mawiało. Tak już zostało: „idę zdjąć Granaty", „idę zdjąć żleb", a gdy decydował się gdzieś nad półkilometrowym luftem na karkołomne selfie, oznajmiał: „zdejmę siebie". W końcu zaczął zabierać w góry wełniane pąsowe swetry robione specjalnie dla niego na drutach i antyczne płócienne plecaki, które niezbyt pasowały do glancmodnego szpeju. Gregor w ogóle, gdzieś w okresie rozwodu, przechodził jakąś naturalistyczną metamorfozę. Kiedyś zawsze do przodu, dziś najchętniej zerwałby w czorta cały asfalt świata, koło Obidowej przestawił znak w prawo, by wszystkie wozy po kolei spadały w przepaść, dałby się wozić dwa dni z Krakowa do Zakopanego dorożką za dziesięć talarów, zabrałby w góry tragarzy, górę kiełbasy, gorzałę, góralską, a nawet i cygańską kapelę, by mu rżnęli nocą na szczycie Krzesanicy przy

trzymetrowej watrze, uchlałby się, a potem zasnął z podeszwami w żarze, bo zaraz po wolności cenił gęstą, niezmąconą ciszę.

(fot. Awit Szubert)

Ale przecież nie chodziliśmy w te górzyska dla Szuberta, oscypków i starych limb. Szukaliśmy żon.

Nie chcieliśmy już kobiet z nizin. Żony z nizin są złe. Fajnie jest mieć dziewczynę z gór. Choćby ceperkę poznaną w popularnym schronisku. Kobieta, która z własnej woli zostaje w Murowańcu na noc, to już jest materiał na żonę, wierchuszka kandydatek, z których reszta wykruszyła się na Zakopiance, na Krupówkach, a w najlepszym razie na stromym podejściu z Kuźnic. To jest jakiś zdrowy fundament emocji pierwszego spotkania, objaw prostoty umysłu, który czerstwość okoliczności założycielskich potrafi zamienić potem w oddanie, wierność i uczciwość – w cud.

W ten piątek szło mu lepiej niż zwykle. Szybko zamknął książkę, zjadł, umył ręce i oddał się ciepłemu nurtowi wysublimowanemu flirtu, dlatego to ja dwa razy

szybciej piłem piwo, co chwilę szturchając go łokciem lub nogą, gdy wychodziłem po kolejne. Moja ciążąca coraz bardziej głowa układała się nad blatem do pozycji nurka albo piłkarskiego szczupaka. Wtedy między czyimś łokciem a ramieniem, między czworogranną karafką wina a zieloną flachą becherovki ujrzałem ją.

Siedziała w grupie prawie samych mężczyzn. Potem dostrzegłem przy stoliku jeszcze jedną kobietę i chyba dwójkę dzieci. Zajmowali cały stolik i wyglądali jak jedna wielka rodzina, która co któryś weekend przeznacza na pielęgnację więzów krwi i jeszcze mają z tego sporo frajdy. Wzięła mnie autentyczna zazdrość. Ktoś z nich odsunął się od krawędzi stołu – stały na nim butelki, podejrzewam, że nie z sokiem, bo chwilę potem i ona chwyciła za kieliszek i wychyliła zawartość, podając go kolejnemu po okręgu. Wystarczyło chwilę się przyjrzeć, by się zorientować, że w coś z pasją grają, podają sobie jakieś kartoniki, przesuwają pionki, rzucają kostkami, ale próżno liczyć nawet na hipotezę nazwy gry, gdy bagaż doświadczenia narratora w tej dziedzinie zamyka się w jednej partii chińczyka i połowie Piotrusia, bo zasnął. Nie mogłem od niej oderwać wzroku, bo nawet i w tej gąsienicowej optyce – była inna. Chyba mniej więcej w moim wieku. Wtedy, gdy patrzenie sprawiało mi coraz więcej przyjemności, gdy w izbie wszystko zaczynało gęstnieć jak należy, weszły one. Przecież robią to zawsze w ten sam sposób, a za każdym razem ich anszlus sali jest zaskoczeniem, wzbudzając panikę i pokątną eksplozję bluzgów. Wchodzą jak po żyto. Czasem w trójkę, czasem w piątkę, jedna na czele, to ona około nieprzyzwoicie młodej dwudziestej pierwszej ryczy, dosłownie ryczy: „Proszę opuścić salę!”, gdy jej adiutantki ścierają już pieprznik z pierwszej ławy tuż pod podniesionymi w ostatniej chwili kuflami, tyły oddziału anektują podłogę i wylewają na nią spienioną, gorącą wodę, której wypukła kreska prędko przesuwa się w kierunku ospałych. Nie znoszą sprzeciwu. Ich apodyktyczność

jest tak autentyczna, że nie protestuje nikt. Ostatni domykają pokerki, dopijają piwo, które leje się po ryżych brodach, wciągają w pośpiechu ostatnie pierogi, dlatego wychodząc powściągliwie bekają, odkładają zażarte dyskusje i opowieści na następny dzień, gdy na połowie stołów stoją już odwrócone do góry nogami krzesła, z których czasem kapie jeszcze gęsty, czerwony sok. A niedopici, jak to niedopici – zawsze niedopici, wszędzie niedopici – zajmują zimne wnęki i schody, kible i korytarze, ze sto razy słysząc „przepraszam", gdy przepuszczają bardziej rozumnych, którzy wiedzą, że aby przeżyć w górach dobrze sobotę, trzeba się wyspać bez kaca.

Sen czterdziestolatka nie jest jednak snem trzydziestolatka. By go dostąpić, trzeba przegonić o dziesięć lat więcej myśli, rozterek i grzesznych smug, które i tak potrafią powrócić na długo przed świtem. Kac czterdziestolatka to też nie jest kac trzydziestolatka, a całkiem wymierne skutki wypicia trzech piw wzrastają wraz z wiekiem w postępie geometrycznym. Mimo wszystko tuż po wybrzmieniu budzika wyszedłem do toalety, wziąłem prysznic, długo, bardzo długo płukałem twarz lodowatą wodą, masując dłońmi szczeć zarostu, wychyliłem głowę przez okno, łyknąłem świeżego powietrza i usłyszałem dobiegający z frontu budynku twardy hurgot desek o szreń, skrzyp butów i rozbudzone głosy, wmawiając sobie świeżość i gotowość – by zaraz przyznać, że to samooszustwo, słaba blaga, bujda na resorach człowieka na półmetku życia z czarnymi wydmami pod oczami, który czuje siłę co najwyżej na spacer nad Czarny Staw, i jest wściekły, bo znów się nie wyspał.

– No chodź z nami na Zawrat. – Gregor spojrzał na mnie po śniadaniu już na zewnątrz swoimi wielkimi i roziskrzonymi, bo wypoczętymi oczami.

– Chyba cię… – odparłem całkiem szczerze.

Zawrat był w tej sytuacji żenującą napinką, podrażnieniem ambicji, gdy w plecakach taszczyliśmy linę, ekspresy, deadmany, śruby lodowe i szablę śnieżną, cały ten rynsztunek, dzięki któremu mieliśmy wspiąć się poza wydeptanymi ścieżkami do grona górskiej elity. Moje ciało było stać na spacer najwyżej na Karb, a jego dusza nie znosi pozerów. Ale już wiedziałem, że Gregor jest po drugiej stronie. Siedzieli przy śniadaniu blisko siebie i ćwierkali. Było im łatwiej – po wczorajszym mieli już wspólne wspomnienia. Przez chwilę wydawało mi się nawet, że trzymają się za ręce. Chrupiąc białą rzodkiewkę, powtarzał bez końca:

– Chodź z nami… Dziewczyny tam idą… No co ci zależy… Jeszcze nie raz przyjedziemy… Chodź… – Gdy zrozumiał, że jestem gdzie indziej, zapytał po raz ostatni:

– Nie obrazisz się?

– Weź nie…

Zawsze pragnął wyżej i wyżej, w życiu i biznesie, za wszelką cenę, a gdyby na księżyc prowadził szlak obity klamrami albo jakiś filarek do V+, już dawno by na nim siedział, polewając ze swojego hipertermosa herbatę z kardamonem i żurawiną. Ja tymczasem coraz bardziej ceniłem sobie bezpieczny widok z dołu, by w każdej chwili móc zejść z pola widzenia, kryjąc się w ciemnym lesie. Słońce paliło. Wysmarował obficie twarz kremem i nacisnął na skronie opaskę, gdy studentki tupały już butami o posadzkę i chichocząc, ponaglały go: „No, Gregor…”, podał mi grabę i zniknął za świerkiem. Zbyt długo byliśmy przyjaciółmi, by takie zagrywki rozpatrywać w kategorii zdrad.

Przetarłem oczy, zmierzwiłem włosy, wiedząc, że w tę sobotę będę pędził żywot człowieka niewyspanego. Szkoda było jednak siedzieć w Murowańcu, gdy

wszyscy wyszli. Podszedłem pod Czarny Staw, myśląc zawzięcie tej dziwnej kobiecie. Szedłem wolno i ciężko dyszałem. Staw pękał na pół. Środkiem ciągnęła się żółta wydeptana ścieżka, po jej lewej stronie zalegał jeszcze biały, miękkawy lód, a po prawej wybijały się już granatowe, grube żyły wody. Wszyscy już dawno rozeszli się po swoich przełęczach i szczytach, pozostawiając kotliny nasłonecznione i puste. Przez jedną ze szczerb w grani Małego Kościelca prześlizgiwał się równy poświst wiatru. Ze zbocza turlały się pojedyncze krupki płomiennego śniegu. Głosy rozchodziły się prosto i szybko. Nagrzane powietrze sprawnie przewodziło podśmiechujki spod Zawratu i okrzyki taterników ze żlebu Drake'a. Z płaskiej grani Kozich Czubów w czeluść Koziej Dolinki powoli opadała siejba śnieżnego pyłu, jakby ktoś z wyczuciem zdmuchiwał ze stołu górki mąki z ustami przy samym skraju blatu. Pod Karbem ze skał sterczały kryształowe draperie lodu. Samotność wyraźnie mi służyła – była ostatnią szansą na chemię, która wskrzeszała reakcję ze światem dawno uznanym za martwy. Słońce hulało po szerokich wydmuchowiskach. Turnie pokrywało wciąż lodowe szkliwo. Zmierzchem przypominały swoje fantomy, które w końcu od któregoś uderzenia taternickim młotkiem pękną i zamienią się w kupę szklanego gruzu u stóp Murowańca. Było późno, dlatego zbiegłem skrótem w Dolinę Stawów Gąsienicowych wzdłuż płytkiego holwegu. W kotlinie słońce stawiało z dojrzałego światła swoje geometrie – graniastosłupy, oktaedry i ćwierćkule, by szybko ułożyć je w wielki złoty pałac, który zawsze płonie na sam koniec dnia, aż pożar zgasi mrok jak człowiek wilgotnymi palcami knot. Zanim to nastąpiło, smyrgnąłem jego prawym krużgankiem w kierunku schroniska pod napiętym, modropopielatym niebem. Ona też już wróciła.

(fot. Awit Szubert)

Była czerstwa i szczęśliwa. Od samego początku nie wyglądała mi na Polkę. Ani na Słowaczkę, Czeszkę, czy Włoszkę. Znów jej ekipa zajęła całą ławę, zamówili stołówkowe zupy, naleśniki, przymierzając się do kolejnej partyjki wielkiej gry i epatując rodzinnością. Minąłem ją na korytarzu przy toalecie, zobaczyłem, że wychodzi razem ze znajomymi na zewnątrz, i od razu skręciłem. Stałem koło niej. Ładnie pachniała. Kilku gości paliło. Wystarczyło zapuścić żurawia na te parę minut, by wiedzieć, że ten starszy z siwą z brodą to jej mąż. Albo partner. Nie widziałem z nimi dzieci. Reszta to jakieś kuzynostwo, para – on z kolczykiem nosie, w brodzie, no i w uszach, i jego partnerka w szerokich backpackerskich gaciach, której kwadrans wyrafinowanej gadki z jakimś kolesiem o niuansach zjazdu ze Świnickiej Przełęczy tłumaczył na „It's okey", a ona, wcinając się w kolejną już fazę dyskusji, prosiła o więcej szczegółów w odniesieniu do poprzedniej, powtarzając bez końca „oh, Carol…" – bo miał na imię Karol.

Była Brytyjką.

Nigdy bym nie przypuszczał – po paru latach roboty na Wyspach, żyjąc z brzemieniem kilkudziesięciu clubbingów w brytyjskich klubach, gdzie punkt kulminacyjny imprezy przypomina zapaść, jakby zgęstniały tłum zastygał pod napływem niewidzialnej lawy, w której grzęzną kończyny, fantazja i spojrzenia, i trudno wypatrzeć w nich jedno ładne. Pewnie ma stadninę w Polsce – pomyślałem – bo jak spotykasz tu Brytyjkę, to zazwyczaj kocha konie, a na jej działce rosną cisy. Była w tej brytyjskości optymalnie kobieca. Powściągliwość kształtów i ruchów szła w parze z oszczędnością słów i gestów. Jeśli czegoś było w niej w subtelnym nadmiarze, to wrodzonego ciepła, które skupiała w spojrzeniu. Kiedy się uśmiechała, przy kącikach jej ust nie pojawiały się dwie dziurki, a pionowe kreski. Brytyjskość została w niej okiełznana i przekuta w atut – zamieniona w jakiś zupełnie nieznany gatunek sympatii, którą uwydatniały tylko ewidentnie brytyjskie rysy twarzy, zęby i odcień skóry. Nawet piegów miała tyle, co trzeba.

Ale jak wyrwać taką laskę? Co, przypadkiem potrącić na schodach? Albo męża zapytać, czy nie ma nic przeciwko? W końcu Anglik – może się zgodzi. A może już jej się znudził? No bo co jeszcze, do stołu się przysiąść i postawić pół litra i słoik ogórków? Ukradkiem zagaić na zewnątrz i poprosić o numer? Spłonąć ze wstydu, gdy odmówi? Czy lepiej ryzykować i jednak poprosić, by nie spędzić potem miesięcy w necie na daremnym poszukiwaniu jej tropów w googlach i fejsbukach? Ale spotkanie poziomicy 1500 metrów n.p.m., nieprzespanej nocy, dwóch piw i długiej refleksji na temat brytyjskości wyklucza miejsce dla racjonalności. Postanowiłem zupełnie inaczej – tuż przed godziną W, gdy na salę wtargnie femmekomando, podejdę od tyłu do ich stolika, stanę za jej plecami i przesunę na planszy jej pionek.

Dobrze siadłem. Po lewej grubas, po prawej grubas po Zawracie przez Świnicę, ale przed kąpaniem. Kręciło mi się trochę w głowie. Wyszedłem na dwór. Między drzewami dojrzałem Koszystą. Jej wyuzdana sylwetka zawsze odsłania się pierwsza spod barłogu chmur. Jej próżne obżarte cielsko świeci się tu nocą jak tanie, przetopione aluminium. Puszysty śnieg zalega na filarach i przypomina wałki tłuszczu. Koszysta, tatrzańska caryca, której zwalisty tułów zasłania pół świata, zawsze w pierwszym rzędzie, a dopiero za nią honorne sylwetki wyższej, lecz skruszałej reszty, których czuby świecą pod sufitem nieba jak bizantyjski żyrandol.

Weekendowy wieczór wyglądał tak jak zawsze. Ci sami ludzie w tych samych tematach, mniej więcej w tych samych pozycjach. Zgadza się – przybywaliśmy tu dla powtarzalności. Nawet wieść o jakiejś malowniczej śmierci w ścianie przyjmowaliśmy tu ze zrozumieniem. W dole zostawiliśmy byłe żony, matki i kochanki. Depresje rodziły się między – 2 p.p.m, a 400 n.p.m., rozpacz na wywianych 400–700, krzywda na omżałych 700–1000, gniew w oćmie 1000–1500. Tu byliśmy bezpieczni. Nawet jeśli przez salę przewijały się obce ciała – kolejni klienci pączkujących szkół turystyki górskiej, którzy zdradzali się licznymi selfies w uprzęży na treningowych ściankach i głośniejszym zachowaniem. Niektórzy przyznawali sami, że znaleźli się tu przypadkiem. A więc było jak zawsze w zimową sobotę – niejaki Waldek ze szkoły górskiej Kilimanjaro, który cierpi na przypadek Benjamina Buttona, po raz dwa tysiące czterysta dziewięćdziesiąty dziewiąty opowiadał im te same anegdoty, po czym po wygłoszeniu wykładu o rodzajach ryzyka na lodowcach dosiadł się do grona instruktorów, licytujących się na ilość debili w swojej grupie. Jedna z nich z bazą w Betlejemce dała w palnik i próbowała dotrzeć przez zaspy do swoich wyr, wypuszczając na szpicy starego kawalera o oczach i zamiarach termita, który jeden krok do przodu kwitował dwoma wstecz i srogą glebą na plecy w dół

zbocza, po czym uparcie wstawał i grzał w zaspę, bo widać tam widział szansę na lokalizację celu. Nie byli jego przyjaciółmi – stali razem niemal ściśnięci daleko z tyłu, podtrzymując się za ręce, szczali, a na pewno płakali ze śmiechu, zwijając się razem w żywy kułak, aż ktoś wycedził w kpiarskim amoku przez zęby: „Chyba wezwiemy TOPR".

Toprowcy o pomarańczowych twarzach prócz bladych kółek wokół oczu zajęli największą ławę i popijając browar, łypali na towarzystwo przez podwójne szkło, czując na sobie pożądliwe spojrzenia. Byli na jakimś szkoleniu. Wszyscy nosili obcisłe, czarne koszulki z podciągniętymi rękawami, odsłaniając nabite, owłosione przedramiona z powrósłami żył. Mówili doniośle do siebie, ale tak naprawdę do wszystkich. Byli zbyt inteligentni, by nie wiedzieć, że ludzie łakną ich widoku, ponieważ są silni, zdrowi i w zasadzie nie boją się śmierci. Przynajmniej jeden na środku, który wydawał się wodzem:

– Jestem jeszcze w ścianie, zjeżdżam i Ziutek do mnie dzwoni: „Marka przygniótł kamień, chyba nie żyje…" Łapię się za głowę, słabo mi się robi, bo jeszcze mówi: „Ty musisz zadzwonić do jego żony, masz numer?" Mam numer, ale nie dzwonię, bo co ja jej powiem? Schodzę na dół, łapię oddech i wykręcam, i mówię: „Pani Bożeno, dzwonię do pani z taką informacją, że wydarzył się wypadek, czy ktoś dzwonił do pani w sprawie Marka?" Cały się pocę, a ona: „Marek siedzi teraz koło mnie"…

W końcu zaczęły do mnie docierać strzępy głośnych i nieskrępowanych rozmów. Krążyły jak liście z drzewa, które wpadają w niemrawy wir, zataczają kręgi i nim opadną, potrafią podfrunąć jeszcze parę cali wzwyż.

– Przepraszam cię, tylko nie pedały… Kto zrobi z tym wszystkim porządek? Jak to kto? Kaczka…

– Tak, tak. Ta sama sprzątaczka, która sprząta u Warlikowskiego, Hanny Krall i Szczygła. Zwolniłem ją.

– Patrzę, a do Cajgusia jacyś goście na Błoniach wyskakują pod Żaczkiem, a ten im od razu laga, jedna druga trzecia, z kolana, plomba, hak, do drzewa, z bańki i po sprawie. Odszedł, wrócił i jeszcze jednemu z laczka poprawił. W każdym razie, wraca o dziewiątej bez kurtki i butów, wchodzi na kwadrat, patrzymy, a tam…

– Nie no, nie sądzisz chyba, że literatura nie ma się już przeciw czemu buntować, przecież ta szczelina, która wyrasta między człowiekiem a…

– No i mówię do człowieka pół żartem: „Chyba by trzeba z bańkę na łapówki, żeby cokolwiek tam zainwestować”. A on zupełnie serio: „Z tym akurat nie będzie problemu”…

– I to jest właśnie Polska… Same cwaniaczki i pajace. Banda złodziei polskich decydentów. Tusk…

– …a tam siedzą Bobson i Fema…

– …no i daje mi telefon, a tam Marek…

– …Riff, którego zakopiańskie rękopisy zostały spalone przez sanitariuszy przeprowadzających dezynfekcję, był wiernym artystycznym sparingpartnerem Schulza, i co ciekawsze…

– O kuna, nie ściągnęła mi się apka – odezwał się na koniec, a po raz pierwszy od dwóch dni siedzący po skosie nastoletni cyborg o nieobecnych przeszklonych oczach, którym jednak najlepiej przyglądać się w pociągach. A wszystko to przetkane gęstym bluzgiem, bo naród ostatnio jedzie z koksem bez

krępacji, przy młodych i starych, przy biednych i bogatych, w tramwaju i na łódce, w kolejce i poza, to dlaczegóżby nie w schronisku.

I tak żeśmy sobie siedzieli. Szpakowaci, wysoko podgoleni faceci z garścią żelu na przystrzyżonych włosach, który miał kamuflować ich rzadkość, a sklejając je, tylko uwydatniał. Pozerzy, którzy jak zwykle fetnymi ciuchami próbują maskować swoje górskie kompleksy, a odpadając frajersko od ściany na czwórkowej drodze, tłumaczą *urbi et orbi*: „Rok temu łoiłem sześć dwa plus". Grupa inteligentów, którzy za wszelką cenę chcieli być „równi", ale jakoś nie mogli. Hipsterzy, którym nawet się podobało. Wegetarianie i miłośnicy królików. Ci, którym sprzątają, i ci, którzy sprzątają innym, u progu śmierci i przedszkola, smagli i bledsi, grubsi i chudsi, biedni i wypasieni, ekscentrycy i jacyś nowi Wyspiańscy, którzy z brodą nad kubkiem herbaty potrafią przez parę godzin patrzeć się w bliżej nieokreślony punkt. Był nawet jeden Murzyn i dwóch Chińczyków. Byliśmy wielką planetarną rodziną. W głowie kręciło mi się coraz bardziej, a samotność wskrzesiła pierwszą chemiczną fazę – wyobraźnię, w której schronisko płonęło już na mrozie jak żagiew, by za chwilę eksplodować w całonocny obieg wokół tatrzańskiego jądra gdzieś nad Szpiglasem, ponad zadzierzystą granią Hrubego, przez pióropusze lodu nad Wagą i próżnię Waksmundu, przez nastermane igliczki Buczynowych i pożółkłe połcie Koszystej, by wrócić miękko na swoje miejsce jak gdyby nigdy nic, zanim pierwszy z nas uchyli przed świtem powieki. Wystarczyło wyjść za próg, by patrzeć, jak fikcja przenika się z prawdą. Kosmos zaczynał się tuż za lasem.

Odstawiłem kufel, grubas zrobił mi łaskawie przejście, spojrzałem przed siebie i ruszyłem w kierunku jej stołu, i w tym momencie, na dziesięć minut przed czasem do sali wpadło kobiece tornado, którego podmuch wymiótł ze mnie resztki ułańskiej odwagi. Wstała i wyszła do pokoju.

Modliłem się, by w niedzielę nie schodzili. Ale skoro w takiej rodzinnej ekipie, raz na ile – pewnie zostaną dłużej. Nie myliłem się. Pogoda się nie zmieniła. Poszedłem na spacer do Czerwonego Stawku, by wystukiwać kijkami o głazy postanowienia, a wieczorem znów zająć w sali swoje miejsce. Gregor przysłał mi mmsa – wtulony w Gosię w błękitnoszarym cieniu pod okapem Miedzianego.

Była już niedziela i w schronisku się przerzedziło. W sali było więcej przestrzeni na wyważoną myśl. Siadłem tam gdzie zwykle. Ona zajęła swoje miejsce, grając w tę samą planszówkę. Tak, miałem czterdziestkę na karku i byłem gotów. Podszedłem do baru i poprosiłem dla kurażu o białą, bo w polskim schronisku kropniesz setkę, ale nigdy wino, którego baterie witają cię w pierwszym lepszym schronisku na Słowacji. Południe zaczyna się nad Kieżmarskim Stawem. W Murowańcu zaczynało się coś innego. Postanowiłem, że przesunę pionek w jej kierunku. Wbiegłem jeszcze szybko na górę do toalety, by przejrzeć się w lustrze. W podniecającym amoku wpadłem do recepcji, gdzie siedzi ładna recepcjonistka, i w przelocie zerknąłem przez okno. Pod budynek od Doliny Suchej Wody podeszła płaska mgła z nierzeczywistym, amarantowym poblaskiem, jakbyśmy naraz znaleźli się – na moje oko – z osiem metrów nad niebem.